

Przełożyła Krystyna Rodowska

Combray, II¹ (fragment)

Kiedy chciało się iść w stronę Méséglise, wychodziło się (nie za wcześnie, nawet gdy niebo było zachmurzone, gdyż ta przechadzka nie trwała zbyt długo i nie była męcząca), jakby się szło obojętnie gdzie, przez główną bramę domu mojej ciotki, wychodzącą na ulicę Świętego Ducha. Pozdrowiało się rusznikarza, wrzucało listy do skrzynki, w przejściu przekazywało się Teodorowi, że Franciszce zabrakło oliwy lub kawy, i wychodziło się z miasta drogą prowadzącą wzdłuż białych sztafet wokół parku pana Swanna. Zanim jeszcze tam doszliśmy, naprzeciw przybyszom wybiegał zapach bżów. One same, pośród zielonych i świeżych liści w kształcie małych serc, wystawiały ciekawsko ponad parkowe ogrodzenie swoje pióropusze fiołkowe lub białe, przepatrywane nawet w cieniu przez słońce, w którym się skąpały. Niektóre, na wpół zastonięte krytym dachówkami domkiem, zwanym domem Łuczniaków gdzie mieszkał odźwierny, wybiegały poza gotycki daszek swym różowym minaretem. Nimfy wiosenne mogłyby wydać się pospolite przy owych młodych hurysach, które w tym francuskim ogrodzie zachowały żywe i czyste barwy perskich miniatur. Pragnąłbym objąć je w giętkiej talii i przyciągnąć do siebie gwiazdziste pukle ich pachnących głów, ale przeszliśmy obok, nie zatrzymując się, gdyż rodzice od czasu zawarcia małżeństwa przez Swanna nie odwiedzali już Tansonville, i aby nie stwarzać wrażenia, że zaglądamy do parku, zamiast pójść ścieżką biegnącą wzdłuż sztachet, wychodzącą prosto na pola, obieraliśmy inną, która też tam prowadziła, lecz okrężnie, tak że musieliśmy nadkładać drogi. Pewnego dnia dziadek powiedział do ojca:

– Pamiętasz, że Swann oznajmił wczoraj, że jego żona z córką wybierają się do Reims, on zaś skorzysta z tego i wyskoczy na całą dobę do Paryża? Ponieważ tych dam nie ma, moglibyśmy pójść wzdłuż parku, to by nam skróciło drogę.

Zatrzymaliśmy się na chwilę przed sztachetami. Czas bżów dobiegał końca; niektóre puszyły się jeszcze delikatnymi, fiołkowymi kiściami swych wysokich świeczników, lecz w wielu partiach listowia, gdzie jeszcze tydzień temu tryskała wonna piana, teraz jej świetność skarłała, szcerniała, piana wyschła i straciła zapach. Dziadek pokazywał ojcu, w czym wygląd tych miejsc pozostał taki sam, a w czym się zmienił od czasu przechadzki, którą odbył z panem Swannem w dniu śmierci swojej żony, i podchwycił okazję, by opowiedzieć o tej przechadzce po raz kolejny.

¹ Fragment nowego przekładu pierwszego tomu cyklu *W poszukiwaniu utraconego czasu – W stronę Swanna*. Książka ukaże się w 2018 roku nakładem łódzkiego wydawnictwa Oficyna

Na wprost nas obsadzona nasturcjami aleja wspinała się w pełnym słońcu aż do pałacyku. Na prawo, wprost przeciwnie, park rozciągał się na płaskim terenie. W cieniu otaczających ją dużych drzew była sadzawka, wykopana przez rodziców Swanna; jednak nawet przy najbardziej sztucznych swych twórcach człowiek pracuje na podłożu natury, w pewnych miejscach czuje się zawsze jej szczególne panowanie, jej odwieczne piętno utrzymuje się pośrodku parku jakby z dala od wszelkiej ludzkiej interwencji, w samotności, która z powrotem otacza owe miejsca, zrodzona z ich charakteru, górująca nad dziełem ludzi. Stąd też, u stóp alei nad sztucznym stawem, utworzyło się po obu jej stronach naturalne obramowanie z niezapominajek i barwinku, delikatny, błękitny wieniec nad czołem wód tonących w światło-cieniu, wśród których gladiolusy, zginające swe miecze w geście królewskiej obojętności, wznosiły berto swego nadwodnego królowania nad sadźcem i kaczeńcem mokrostopym, nad postrzępionym fioletem i żółcią kwiatów lilii.

Wyjazd panny Swann – pozbawiając mnie przerażającej szansy, że oto mógłbym ją ujrzeć w głębi alei, poznać i doznać wzgardy tej uprzywilejowanej dziewczynki, cieszącej się przyjaźnią Bergotte'a i zwiedzającej w jego towarzystwie katedry – sprawiał, że oglądanie Tansonville, po raz pierwszy dozwolone, napełniało mnie obojętnością, natomiast w oczach dziadka i ojca dodawało tej posiadłości przelotnego uroku nadarzającej się sposobności, jakby stworzonej dla wycieczki w górzystą krainę, przy niebie bez chmurki, sprawiało, że dzień ten wyjątkowo nadawał się do przechadzki w tę stronę; co do mnie, wołałbym, by ich rachuby okazały się płonne i by jakimś cudem panna Swann ukazała się wraz ze swoim ojcem tak blisko nas, że zabrakłoby nam czasu, by uniknąć tego spotkania i zostalibyśmy zmuszeni do zawarcia z nią znajomości. Toteż gdy nagle spostrzegłem na trawie znak jej możliwej obecności: porzucony koszyk obok wędki, której korek kołysał się na wodzie, postarałem się czym prędzej odwrócić uwagę dziadka i ojca w inną stronę. Zresztą Swann wspominał, że nie był to dla niego najlepszy moment na wypad, ponieważ miał chwilowo rodzinę w domu, toteż wędka mogła należeć do kogoś z gości. Nie było słychać odgłosu niczych kroków w alei. Gdzieś w wysokich partiach niewiadomego drzewa, niewidzialny ptak, chcąc przemyślnie skrócić długość tego dnia, zgłębiał przeciągłą nutą dookolną samotność, lecz ona odpowiadała mu tak jednomyślnie, że zdwojoną mocą ciszy i bezruchu, że zdawało się, iż chcąc przyspieszyć przemijanie chwili, zatrzymał ją w powietrzu na zawsze. Znieruchomiałe niebo emanowało światłem tak nieubłaganym, że chciałoby się gdzieś ukryć przed jego stężeniem i nawet stojąca woda, której sen nieustająco drażniły owady, marząc z pewnością o jakimś urojonym maelstromie, zwiększała mój niepokój na widok splotnika wędki, zdając się wciągać go z niebywałą prędkością na milczące połacie odbitego w niej nieba, tak że on, już niemal będąc w pionie, gotów był zanurkować, ja zaś biłem się z myślami, czy nie powinienem uprzedzić panny Swann, że właśnie ryba bierze, nie zważając na pragnienie i obawę przed jej poznanie – gdy właśnie trzeba mi było puścić się pędem i dogonić dziadka i ojca, którzy wołali mnie, zdziwieni, że nie poszedłem ich śladem drożką wspinającą się ku polom.

Aż brzęczała od zapachu głogów. Żywopłót tworzył szereg kapliczek, znikających pod masą kwiatów sfoczonych jak na ołtarzu; u ich stóp słońce kładło się na ziemi jasną kratą, jakby przeszło przez kościelny witraż, a zapach rozprzestrzenił się tak uroczyście, tak bezbrzeżnie, jakbym stanął przed ołtarzem Najświętszej Panny i kwiaty, tak strojne, trzymały każdy z osobna, jakby od niechcenia, swój olśniewający bukiet pręcików, delikatny i promienny pęk łuków w stylu gotyku *flamboyant*, niczym te, co w kościele zdobią ażurem poręcz ambony lub wypełniają segmenty witraża, a które tutaj rozkwitały śnieżnym mięszkiem kwiatów poziomki. Jakże naiwne i wieśniacze mogły wydać się przy nich dzikie róże, które za kilka tygodni będą wspinały się tą samą polną drogą w jedno-barwnym jedwabiu swych czerwonych gorsecików, opadających z podmuchem wiatru.

Ale na próżno stałem przed krzakami głogu, wdychając, odnajdując i gubiąc ich niewidzialny i stały zapach, rozważany w myślach, które nie wiedziały, co z nim począć, łącząc się w młodzieńczym rozradowaniu z rytmem poruszania się kwiatów raz w jedną raz w drugą stronę; w odstępach czasu nieoczekiwanych niczym pewne interwały muzyczne; roztaczały przede mną bez końca wciąż ten sam urok, z niewyczerpaną rozrzutnością, lecz nie dając mi go zgłębić, tak jak się dzieje z melodiami. których słucha się setki razy, bez wniknięcia w ich tajemnicę. Odwróciłem się na chwilę, tylko po to, by znowu je chłonąć, ze świeżymi siłami. Szedłem za nimi aż do skarpy, za żywopłotem wspinającej się stromo ku polom; tu i ówdzie jakiś zabłąkany mak, kilka opiesziałych bławatków, co zostały w tyle, zdobiło ją gdzieśgdzie kwiatami niczym brzeg gobelinu sielskim motywem dominującym w centrum tkaniny; jeszcze rzadkie, oddzielone od siebie w przestrzeni jak osobno stojące domy, które zapowiadają zbliżanie się do wioski, obwieszczają mi niezmiernie przestrzenie, gdzie burzy się zboże, pasą się stada chmur, i na widok jednego tylko maku wciągającego na szczyt masztu i wystawiającego na chłostę wiatru swój czerwony płomień ponad błotnistą, tłustą czernią, zabiło mi serce, niczym podróżnikowi, gdy spostrzeże na lądzie pierwszą łódź wyrzuconą na brzeg, uszczelnianą teraz przez szkutnika, i który, nim jeszcze zobaczy wodę, wydaje okrzyk: „Morze!”.

I znowu wracałem do krzaków głogu, jak się wraca do arcydzieł z myślą, że trzeba przez moment zaprzestać wpatrywania się w nie, by za chwilę lepiej je zobaczyć; na próżno jednak robiłem z rąk przesłonę dla oczu, by skupić wzrok tylko na kwiatach, doznanie, które budziły we mnie, wciąż było niejasne i mgliste, choć starałem się oczyścić je i zespolić z nimi. One nie pomagały mi go rozjaśnić, a ja nie mogłem oczekiwać, że moje pragnienie zaspokoją inne kwiaty. I wówczas – sprawiając mi radość jakiejś doświadczenia, gdy zobaczymy dzieło naszego ulubionego malarza, różne od oglądanych do tej pory, lub gdy staniemy przed obrazem, znanym nam dotąd jedynie jako szkic ołówkiem, albo gdy jakiś utwór wykonywany na fortepianie ukaże nam się w barwach orkiestrowych – zawołał mnie dziadek – wskazując na żywopłót otaczający Tansonville, i rzekł:

– Ty, który tak lubisz głogi, spójrz na ten różowy; jaki śliczny!

Rzeczywiście, był to głóg, ale różowy, jeszcze piękniejszy niż biały. On także miał strój od święta (od tych świąt jedynie prawdziwych, jakimi są święta religijne, jako że żaden przypadkowy kaprys nie wiąże ich, jak uroczystości świeckich, z pierwszym

lepszym dniem, który nie byłby przeznaczony specjalnie na te obchody i nie miałby w sobie nic wyraźnie odświętnego), ale jeszcze bogatszy, gdyż kwiaty, wyrastające z gałęzi, tłoczyły się tak jedne nad drugimi, że nie było ani jednego miejsca, które nie byłoby nimi udekorowane, i jak te girlandy pomponów okalające laskę w stylu rokoka, były „w kolorze”, czyli lepszej jakości niż te inne, według zasad estetyki rodem z Combray; jeśli sądzić według skali cen w „magazynie” przy rynku lub u Camusa, biszkopyt w kolorze różowym były droższe. Ja sam stawałem wyżej serek z różową śmietanką, w którym wolno mi było miażdżyć truskawki. I właśnie owe kwiaty wybrały dla siebie jeden z tych odcieni jadalnych czy barw delikatnie upiększających toaletę na wielkie święto, które dowodząc własnej wyższości, wydają się z całą oczywistością piękne w oczach dzieci, i z tego też powodu mają dla nich w sobie zawsze coś żywszego i bardziej naturalnego niż inne kolory, nawet jeśli dzieciaki zrozumiały, że ich takomstwo na tym nie skorzysta, i że tych barw nie wybierała krawcowa. I, oczywiście, natychmiast odczułem, tak jak na widok białego głogu, ale jeszcze bardziej oczarowany, że to nie było coś sztucznego, żaden sztuczny produkt ludzkiej wytwórczości, w którym wyrazić się miała odświętna intencja owych kwiatów, lecz że sama natura, spontanicznie przeładowując krzew obfitością różyczek w kolorze zbyt słodkim, w stylu prowincjonalnej madame Pompadour, przekazywała ją z prostodusznością wiejskiej handlarki, trudzącej się dla ozdoby ołtarza. U szczytu gałęzi – niczym różane krzaczki w doniczkach pod papierową koronką rozświetlające jakby błyskami rakiet ołtarz w wielkie święta – roilo się od tysiąca malutkich pączków w nieco bledszym odcieniu, które rozchylając się, ukazywały – niczym w głębi pucharu z różowego marmuru krwiste czerwienie – i zdradzały, jeszcze bardziej niż kwiaty, osobliwą, nieodpartą istotę tego głogu który wszędzie tam, gdzie pączkował lub gdzie miał zakwitnąć, mógł to zrobić tylko w kolorze różowym. Wpleciony w żywoptot, lecz tak przy tym odmienny jak młoda dziewczyna w odświętnej sukience pośród osób zwyczajnie ubranych, co zostają w domu, gotów powitać miesiąc maryjny, którego zdawał się już stanowić cząstkę, jawił się, błyszczący i uśmiechnięty w swej świeżej, różowej toalecie, ów krzew katolicki – rozkosz dla oczu.

Poprzez żywoptot widać było w głębi parku aleję obsadzoną jaśminami, bratkami i werweną; wśród nich otwierały swe świeże sakiewki różowe lewkonie, których zapach przechodził wonią starej, kordobańskiej skóry, a na zwirowej ścieżce długi, pomalowany na zielono wąż do polewania, rozwijając się w skrętach, wznosił nad kwiatami, których zapachy nawilżał pionowy pryzmatyczny wachlarz różnobarwnych kropelek. Nagle przystanąłem, niezdolny do najmniejszego ruchu, jak zdarza się, gdy wizja nie przemawia jedynie do spojrzenia, lecz odwołuje do potrzeby głębszej percepcji i zagarnia całą naszą istotę. Dziewczynka o włosach rudoblonde, która jakby wróciła z przechadzki, trzymając w ręku łopatkę, patrzyła na nas, unosząc twarz usianą różowymi plamkami. Jej czarne oczy błyszczwały, a ponieważ nie potrafiłem wówczas – ani nie nauczyłem się później – sprowadzać do obiektywnych elementów silnego wrażenia, ponieważ nie posiadałem – jak to się określa – „zmysłu obserwacji” w wystarczającym stopniu, by sobie uświadomić kolor jej oczu, przez długi czas ilekroć o niej myślałem, wspomnienie ich blasku

kojarzyło mi się natychmiast z żywym lazurem, jako że była blondynką; tak że gdyby nawet nie miała oczu tak czarnych – co uderzyło mnie za pierwszym razem, kiedy ją zobaczyłem – nie byłbym się może zakochał w niej, jak to się stało, szczególnie dla jej oczu niebieskich.

Wpatrywałem się w nią – tym spojrzeniem, które z początku nie jest tylko wystąpieniem oczu, lecz z którego okna wychylają się wszystkie zmysły, zatrwożone i skamieniałe – spojrzeniem, które chciałoby dotknąć, uwięzić, uprowadzić ciało, na które patrzy i duszę wraz z nim; później zaś tak bardzo się bałem, że zaraz, za sekundę mój dziadek i ojciec, zauważwszy dziewczynkę, oderwą mnie od niej, każąc mi pobiec naprzód – i to drugie spojrzenie, jakie jej posłałem, nieświadomie błagalne, robiło wszystko, by ściągnąć na siebie jej uwagę, żeby zechciała mnie poznać! Ona wybiegła wzrokiem do przodu i na bok, chcąc wyrobić sobie pojęcie o moim dziadku i ojcu, i bez wątpienia z tych oględzin wysnuła wniosek, że jesteśmy śmieszni, bo odwróciła się z miną obojętną i wzdąrdliwą, stanęła z boku, by usunąć twarz z pola ich widzenia; i podczas gdy oni, idąc dalej i nie zauważając jej, wyprzedzili mnie, wystąpiła w moją stronę przeciągłe spojrzenie – bez szczególnego wyrazu, jakby mnie nie widziała – lecz zarazem uporczywe, opatrzone skrywanym uśmieszkiem, którego nie mogłem sobie zinterpretować według wszczepionych mi zasad dobrego wychowania inaczej niż jako oznaki bezbrzeżnej pogardy, a dłoń jej równocześnie nakreśliła nieprzyzwoity gest, któremu – gdyby publicznie został skierowany do nieznanym osoby – mój wewnętrzny słowniczek grzeczności nadałby tylko jeden sens: obraźliwy...

– Gilberto, chodź no tutaj, co ty tam robisz – rozległ się przenikliwy i władczy głos biało ubranej damy której nie zauważyłem; w pewnej odległości od niej stał nieznan mi pan w drelichowym ubraniu, świdrujący mnie wzrokiem tak, że oczy o mało nie wyskoczyły mu z orbit; i dziewczynka przestała się nagle uśmieszać, porwała łopatkę i z miną posłuszną, nieprzeniknioną i ponurą oddaliła się, nie odwracając się już więcej w moją stronę.

I tak przemknęło koło mnie imię Gilberto, подарowane mi niczym talizman, który być może pozwoli mi kiedyś odnaleźć tę, z której czyniło konkretną osobę i która, jeszcze przed chwilą, była jedynie niepewnym obrazem. Dźwięk jego przemknął ponad jaśminami i lewkoniami, cierpki i świeży jak krople tryskające z zielonego węża; opalizujące w strefie czystego powietrza, które przenikał, przesywał – i oddzielał je od tajemnicy życia tej, co je nosiła na użytek szczęśliwców żyjących wraz z nią, podróżujących razem z nią; roztańczając u stóp różowego głogu, na wysokości mojego ramienia, kwintesencję poufałości – dla mnie bolesnej – z nią samą, z nieznanymi rejonami jej życia, do którego nie miałem wstępu...

Przez chwilę (podczas gdy oddalaliśmy się, a dziadek szeptał: „Biedny Swann! Cóż za rolę mu wyznaczili: wymanewrowali go stąd, aby ona mogła zostać sam na sam ze swoim Charlusem, bo to był on, poznałem go! I ta mała, wmieszana w taką ohydę!”), wrażenie, jakie wywarł na mnie despotyczny ton głosu matki Gilberto – która nawet jej nie odpowiedziała – to, że ujrzałem ją jakby zmuszoną do posłuszeństwa w stosunku

do kogoś innego, jakby nie wznosiła się ponad to wszystko, uśmierzyło na moment moje cierpienie, dając mi szczyptę nadziei i tonując moją miłość. Ale szybko ta miłość odżyła we mnie na zasadzie reakcji, przez którą moje upokorzone serce zapragnęło wznieść się lub zniżyć do poziomu Gilberty. Kochałem ją, żałowałem, że zabrakło mi czasu oraz inspiracji, by ją obrazić, zrobić jej krzywdę, zmusić ją, aby o mnie pamiętała. Wydała mi się tak piękna, że chciałem zawrócić i wykrzyknąć jej, wzruszając ramionami: „Ach, jaka jesteś brzydka, śmieszna, odpychająca!”. A tymczasem oddalałem się, unosząc na zawsze – jako pierwszy wzorzec szczęścia niedostępnego dla dzieci mojego pokroju na mocy praw naturalnych, niemożliwych do przewyciężenia – obraz rudowłosej dziewczynki o twarzy usianej różowymi plamkami piegów, trzymającej w ręku łopatkę, śmiejącej się i mierzącej mnie przeciągłym spojrzeniem, ponurym i bez wyrazu. I odtąd urok (jaki roztaczało jej imię, usłyszane przez nią i przeze mnie w tym miejscu, u stóp różowego głogu), miał rosnąć, powlekać, sycić sobą wszystko, co miało z nią związek: jej dziadków, których moi dziadkowie mieli niewysłowione szczęście znać, wzniosłą profesję agenta giełdowego, bolesną dzielnicę Pól Elizejskich, gdzie ona mieszkała w Paryżu. (...)

W tym roku, gdy nieco wcześniej niż zazwyczaj rodzice ustalili dzień powrotu do Paryża, rano w dniu wyjazdu, kiedy już ufryzowano mnie do fotografii, na głowę włożono ostrożnie kapelusz, którego nigdy jeszcze nie nosiłem, i ubrano w aksamitny watowany płaszczyk – szukano mnie wszędzie bez skutku i wreszcie mama znalazła mnie tonącego we łzach, na stromej ścieżce dochodzącej do Tansonville; żegnałem się z głogami, obejmując kłujące gałęzie, i – niczym księżniczka z tragedii, której ciężą zbędne ozdoby – niewdzięczny wobec natrętej dłoni, która skręciła te wszystkie loki i pieczołowicie ułożyła mi włosy na czole, deptałem zerwane papiloty i mój nowy kapelusz. Mamy nie wzruszyły moje łzy, lecz nie mogła powstrzymać okrzyku na widok zdeptanego kapelusza i zgubionego po drodze płaszczyka. Nie słyszałem jej. – O, moje biedne, śliczne głogi – mówiłem, płacząc – wy nie chciałybyście sprawić mi przykrości, nie zmuszałybyście mnie do wyjazdu. Wy nigdy nie chciałyście mnie martwić! Toteż będę was kochał zawsze. I ocierając łzy, przyrzekałem im, że gdy dorosnę, nie będę naśladował niemądrego życia innych ludzi i nawet w Paryżu, kiedy przyjdzie wiosna, zamiast chodzić z wizytami i wysłuchiwać głupstw, pojedę na wieś, żeby zobaczyć pierwsze głogi.

Gdy już znaleźliśmy się na polach, nie opuszczaliśmy ich podczas całego spaceru w stronę Méséglise. Jak niewidzialny włóczęga, bezustannie przebiegał po nich wiatr, który dla mnie był osobliwym duchem Combray. Co roku, w dzień naszego przyjazdu, chcąc poczuć, że rzeczywiście jestem już w Combray, biegłem w stronę pól, by go odnaleźć, poczuć jak przebiega bruzdy, mnie także zmuszając do biegu. Od strony Méséglise, na tej wyniosłej równinie, gdzie na przestrzeni wielu mil nie spotyka się żadnej nierówności terenu, miało się wiatr zawsze obok siebie. Wiedziałem, że panna Swann jeździła często do Laon, by spędzić tam parę dni i choć było to wiele mil stąd, odległość była równoważona przez brak jakichkolwiek przeszkód, toteż gdy w ciepłe popołudnia czułem, jak gdzieś spoza widnokregu nadciąga ten sam podmuch, przygina aż do ziemi najdalsze łany zbóż, wzbija się niczym fala morska na ogromnej przestrzeni, by szumiący

i ciepły wśród esparcety i koniczyny zasnąć u moich stóp, ta równina przynależna nam obojgu, wydawała się nas zbliżać i łączyć, gdy myślałem, że ten podmuch przeszedł obok Gilberty, że szeptał mi na ucho jakieś słowa od niej, których nie mogłem zrozumieć – całowałem go w przelocie. Po lewej stronie była wioska, która nazywała się Champieu (*Campus Pagani*, według proboszcza). Po prawej dostrzegało się z daleka ponad polami zbóż dwie jak wyrzeźbione, wiejskie dzwonnice świętego Andrzeja Polnego, wysmukłe, wryte w powietrzu, pokryte łuską dachówek, pożółkłe i wystrzępione jak dwa kłosa.

Wśród nierównanych ornamentów liści, nie do pomylenia z liśćmi innego owocowego drzewa, posadzone w symetrycznych odstępach jabłonie rozchyłały swe szerokie płatki z białego atlasu lub zwieszały nieśmiałe bukiety zaróżowionych pączków. To od strony Méséglise zauważyłem po raz pierwszy okrągły cień rzucany przez jabłonie na rozstępcznioną ziemię, a także te jedwabie nietkniętego złota, jakie o zachodzie kładą się ukosem pod listowiem, które ojciec rozrywał dotknięciem swej laski, nie naruszając nigdy jego linii.



Prace plastyczne – Aleksandra Rebizant



Prace plastyczne – Aleksandra Rebizant